

Cicha noc, święta noc...

Nieubłaganie zbliżają się Święta. Mam świadomość, że powinienem natychmiast wracać. Tam w Warszawie, nie ubrana choinka czeka na balkonie. Karp nie kupiony, a może jednak? Moja druga połowa znacznie bardziej obowiązkowa, a co ważniejsze wyrozumiała. Pewnie nadrabia moje niedociągnięcia.

A tu, nie ma jak się stąd wyrwać. Bieszczady trzymają jak w kleszczach. Mamia oczekiwaną przygodą. Emocjami, które odsuwają w cień obowiązki. Więc może jeszcze dzień? Może w końcu spełni się marzenie, by spojrzeć w oczy wilkowi. By przeżyć dreszcz emocji, niewyobrażalnych dla zwykłego zjadacza chleba. Więc może jeszcze dzień? Nie. To postanowione. Jeszcze tylko ta noc i wracam!

Wincenty Chrobak patrzy na mnie dobrotliwie. Co sobie myśli to już jego sprawa. Zawsze jednak pełen sympatii gotów doradzić, więc i tym razem doradza w swój jakże barwny i charakterystyczny sposób.

„Pójdiesz se nad potockiem wolniuśko do cerkwi co jus jej tam nimo. Tam se trosecke posiedzis, ino co byś przed raniem do dumu nie wrócił”.

Oj, wiem gdzie mnie wysła. Tam wzdłuż Zalewu Solińskiego biegnie wilcza ścieżka. W tej pustej, dzikiej dolinie nieraz znajdowałem poblakłe jelenie kości. Więc może to właśnie będzie ten raz.

Plecak załadowany, dryling na ramię no i w drogę. Jest piękna zimowa noc. Księżyc gdzieś za chmurami daje miękkie, rozproszone światło. W tej scenerii wszystko staje się mniej rzeczywiste, kontury się zacierają, odległości też. Człowiek porusza się jakby w szklanej kuli wypełnionej ciszą i zawieszanej między niebem i ziemią. Docieram na miejsce. Są tu jakieś ruiny z nieistniejącej już cerkwi. Cichutko szemrze potok.

Minął jakiś czas. Ogarnął mnie dziwny świąteczny nastrój. Jak gdybym był już w domu, z rodziną i za chwilę pora będzie siadać do świątecznego stołu. Po woli wracam do rzeczywistości. Przed sobą mam zbocze góry porośnięte szarą olchą, której ciemne kreski na śniegu robią wrażenie szczotki.

Wtem, pod szczytem coś się poruszyło. Wytężam wzrok. Tak. Jest tam coś ciemnego, czego wcześniej nie zauważyłem. Po chwili znów się porusza. To niewątpliwie zwierze. Jakiego? Na razie jeszcze nie wiem. Zaczyna powoli schodzić w dół. Nie lubię takich sytuacji. Zawsze przyjemniej wiedzieć z kim ma się do czynienia. Ale powoli już rozpoznałem. Nie do wiary. To przecież koń!

Skąd u licha samotnie się tam wziął? Przecież to wilczy rewir. Czy on zwariował? Czy nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa? A może zabłądził i przerażony szuka teraz drogi? Może wyczuł moją obecność i poczuł się rażniej. Może uznał to za ratunek i szczęśliwe zrządzenie losu, bo zmierza wyraźnie w moim kierunku. Jest coraz to bliżej i bliżej. Zaparskał - może to z radości.

I staliśmy tak naprzeciwko siebie, trochę zaskoczeni, trochę zdziwieni, ale spokojni i chyba szczęśliwi z tego spotkania. No bo to przecież prawie Wigilia, czas szczególny. Podobno wtedy zwierzęta przemawiają ludzkim głosem, ale nawet bez słów czuliśmy jakąś wzajemną bliskość.

A potok wciąż szumiał... Cicha noc, święta noc...